Nr. 49. **Środa.** **Kraków, 8. października 1902.**

KURYEREK KRAKOWSKI

Ilustrowane pismo codzienne dla wszystkich

Numer sobotni w podwójnej objętości.

Cena egzemplarza 2 ct.
Przedpłata miesięcznie:
w Krakowie 1 Kor.
na prowincyi 1 Kor. 40 gr.

Ogłoszenia po 20 groszy za wiersz petitu.

Kuryerek opuszcza prasę codziennie z wyjątkiem niedziel i uroczystych świąt o godzinie 5 popołudniu.

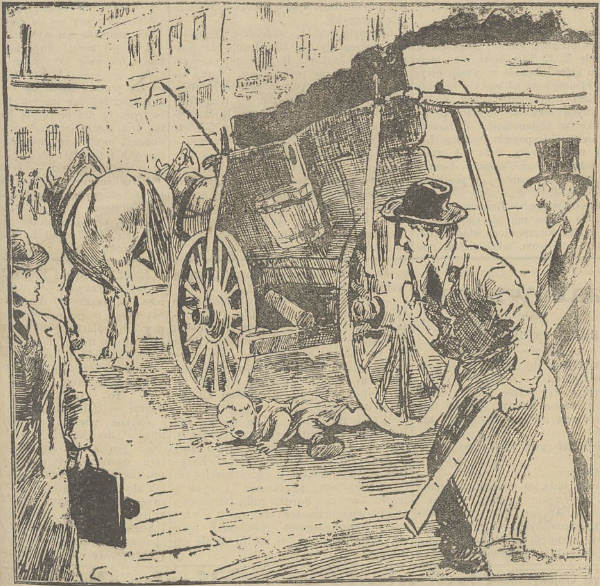
Za redakcyę odpowiedzialny: Adolf Landowski.

Adres wydawnictwa: Kraków, Karmelicka 7. — Nr telefonu 494.

Redakcyą kieruje: Feliks Mrawinczyc.

Wydawca: Feliks Mrawinczyc i Spółka.

Cudowne ocalenie.



(Opis wewnątrz numeru).

Przegląd zagraniczny.

Dwór angielski, gałąź rodu Koburgów, dał zlecenie posłowi wielkiej Brytanii w Brukseli, sir E. C. Fhippsowi, by interweniował u króla Leopolda w sposób przyjacielski i nieurzędowo na korzyść hrabiny Lonyay. Król Leopold nie chce wydać córce pewnych legatów, zapisanych jej przez matkę w testamencie. Zwłaszcza królowa Aleksandra poparła hrabinę Lonyay. Jej wpływ waży dużo na szali. Prawdopodobnie zatem hrabina Lonyay otrzyma spadek po matce i pamiątkowe klejnoty.

Mniej szczęśliwą będzie Ludwika księżna Koburska. Ta będzie musiała cały spadek po matce oddać wierzycielom wiedeńskim, modniarkom, jubilerom, właścicielom magazynów z bielizną. Sądy przyznają im słuszność, ponieważ owe długi zaciągnęła księżna jeszcze przed uznaniem ją za chorą umysłowo.

Wali czyli generał-gubernator Saloniki doniósł Wysokiej Porcie, że wieśniacy bułgarscy, którzy pouciekali w góry powiatu Vodena, zwolna wracają. Mimo to obawa przed bandami macedońskiemi istnieje w dalszym ciągu. Wiele miejscowości żąda kordonu wojskowego. Wali uczynił zadosyć owym prośbom. Ów raport jest szczytem kłamliwości, jaką się rządzi administracya turecka w prowincyach, zamieszkałych częściowo przez chrześcian. Wali przedstawia kordony wojskowe jako zarządzenie dobroczynne, jako następstwo prośby mieszkańców. Tymczasem naprawdę jest to środek, z którego pomocą władze tureckie poprostu morzą głodem dziesiątki wsi, by w ten sposób zdusić w nich wszelkie zachcianki rewolucyjne.

Głównym dowódcą oddziałów boerskich, które wtargnęły do Macedonii, jest podpułkownik Jankow. Raporty tureckie zowią go herszlem rozbójników. Turcy utrzymują też, że gazety zachodnio-europejskie rozdęły ów epizod do rozmiarów zbyt wielkich. Źródłem owych bajek, niekorzystnych dla Turcyi, ma być Wiedeń.

Przeciwko temu oskarżeniu protestuje prasa półoficyalna austro-węgierskiego ministeryum spraw zagranicznych. „Pester Lloyd“ dowodzi, że właśnie w interesie Austro-Węgier leży zupełny spokój owych wilajetów tureckich, które graniczą z Bośnią i Hercogowiną. Austrya podpalałaby dom nad własną głową, gdyby dążyła do zaburzeń w Macedonii.

O stanie króla bawarskiego Ottona nadchodzą wieści coraz posępniejsze. Król Otto od lat niemal trzydziestu — chory umysłowo — przebywa na zamku Für-stenried. Jego choroba umysłowa poleg[a] na przekonaniu, że starszy brat, król Ludwik zabrał mu jego imię i jego myśl.

Gdy w 1886 r. król Ludwik zginął w nurtach jeziora Starhembergersee, kuratorowie w obecności lekarzy zawiadomili księcia Ottona wraz z całym ceremoniałem dworskim o tym smutnym wypadku, a zarazem o tem, iż to on teraz jest królem Bawaryi. Chory słuchał uważnie i zdawało się, że rozumie, co do niego mówią.

— Mój brat, mój brat, biedny Ludwik, biedny Ludwik! — wyszeptał smutnie i łzy ukazały się w smętnych oczach. Potem spytał się, czy brat bardzo cierpiał. Wreszcie zauważył:

— Mówiłem zawsze, że on jest chory — bardzo chory — od czasu...

Tu zabrakło mu wyrazu.

I znowu zaczął rozpaczać, iż Ludwik zabrał mu imię, co z niem zrobił, co [...] z tego przyszło. A jego naraził przez to na tak przykre położenie. Boć to przykro strasznie, żyć bez imienia. Podziękował [o]becnym, że mu przynoszą jego imię. [Te]raz żyje ponownie. Nagle wyprostował się dumnie, monarszem spojrzeniem obrzucił [o]becnych i zawołał:

— Jestem królem — królem!

I ruchem ręki, pełnym wdzięku, [dał] poznać obecnym, iż posłuchanie skończone. Kuratorzy i lekarze wśród głębokich ukłonów, przepisanych ceremoniałem, [opu]ścili salę. Król upadł na fotel i zadu[mał] się głęboko.

Czarownica

14 przez

EMILA POUVILLON.

— Czy daleko do Anglar? — pyta nieśmiało Celka.

— Bardzo ci jakoś pilno, moja mała — żartował Guiral. — Czy tam na ciebie czeka matka, czy może kawaler.

Potem dodał gdy weszli na wzgórek:

— Patrz!

Na skraju lasu, w dolinie, widniały z daleka czerwone dachy, szczyty i wieże miasta Anglar. Niby owce białe i czarne, rozsiały się domostwa jedno przy drugiem w towarzystwie, lub też samotnie pozawieszane nad rzeką, która płynęła srebrną wstęgą wśród olch i topoli.

— Oj! Oj! tyle domów! mój Boże tyle narodu! — wołała Celka nieznająca do tej pory większego miasta nad stan Vensa, drobną osadę, gdzie nie ma więcej nad dziesięć dymów.— I... — rzekła po chwili z pewnym niepokojem — jeżeli święty Antoni mi nie dopomoże, jakim cudem znajdę tutaj matkę?...

Wyszli na rynek, gdzie pełno już było ludzi i bydła różnego rodzaju, prawdziwy las, w którym łatwo zginąć. Co za ścisk! co za hałas! Krzyki i klątwy mieszały się z piskliwem nawoływaniem przekupek i rykiem bydła, tworząc bardzo miłą harmonię. Wędrowne orkiestry stanowiły wydatny akompaniament, ponieważ było ich kilka na ulicy, a każda grała co innego.

Janek! Piotrek! Franka! hop! hop! wołano ujrzawszy się wzajemnie z daleka, następowały krzykliwe po[wita]nia także w podobnej odległości. [Ku]pcy i handlarze gestykulowali za[wzię]cie, silnem uderzeniem dobijając [targu].

Celka była olśniona. Ktoś ją [po]pchnął przez nieuwagę, o mało [nie] upadła jak długa.

— No, no! ostrożnie! — [wołał] Guiral — dalej chodźcie za mną!

Jedyne wązkie schodki [wiodły z] miasta do targu; wchodząc i [wycho]dząc popychano się ciągle. Uzy[skawszy] tym gwarem, w dobrym [humorze] po kilku kieliszkach wina, młodzi [szli] jak do boju z kijem, przeciskając [się] przez tłum. W tym zamęcie pow[stała] kłótnia pomiędzy ludnością z [...] i Ségala, języki poszły w ruch [...] spieszony, nie żałowano pięści, [...] ty krzyczały chroniąc dzieci [...]

W godzinę później kamerdyner zastał go na tym samym fotelu i ciągle zadumanego. Gdy służący się zbliżył, król krzyknął:

— Czy słyszałeś? Wrócono mi moje nazwisko. Jestem królem! Teraz ja rządzę. Niechaj mój brat natychmiast się tutaj stawi, ja, król, tak rozkazuję!

Fizycznie przez szereg lat król był zdrowym. W ostatnich latach przyplątała się jakaś choroba nerkowa, która w połączeniu z cierpieniem umysłowem rujnuje króla bez ratunku. Katastrofy należy się spodziewać lada miesiąc.

Król Krystyan Duński — mimo lat 84 cieszy się wybornem zdrowiem. Rankiem z zamku Bernstorff, gdzie teraz bawi, wyjeżdża na konną wycieczkę, a nie lubi wierzchowców zbyt powolnych, ospałych. Potem przez kilka godzin załatwia sprawy państwowe. Następnie wyjeżdża powozem, przyczem sam powozi. Robi też wycieczki do Kopenhagi albo używa przejażdżki na jachcie, gdzie spożywa albo śniadanie, albo podwieczorek. Apetytem cieszy się wybornym.

Sprawy polityczne duńskie idą torem prawidłowym i nie narażają króla na zatargi z parlamentem, jak to bywało przed laty dwudziestu a nawet piętnastu.

Rokowania ugodowe austro-węgierskie, przerwane powrotem ministrów węgierskich do Budapesztu w czwartek po południu, będą podjęte ponownie w niedzielę o godzinie 9 rano na zamku budzińskim w pałacu prezesa ministrów węgierskich.

„Pester Lloyd" uchyla rąbek tajemnicy, zrywającej rokowania ugodowe. Oskarża [illegible] dra Körbera, że to z powodu jego uporu do tej pory nie przyszło do sfinalizowania ugody.

Dziennik katolicki wiedeński „Vaterland" słusznie wskazuje na sprzeczność informacyi dziennikarskich. Ta sprzeczność posuwa się tak daleko, że jedna i ta sama gazeta, pragnąc uratować rozgłos dobrze poinformowanej, podaje równocześnie, jedno sprawozdanie pesymistyczne i jedno optymistyczne.

Czy ugoda będzie załatwioną w Austryi parlamentarnie; trudno przewidzieć wobec gróźb nietylko Czechów, ale i ludowców niemieckich. Przywódca tych ostatnich w Czechach Henryk Prade wygłosił w Libercu (Reichenbergu) mowę, która maluje sytuacyę bardzo groźnie. Stanowisko gabinetu Körbera jest zachwiane. Ludowcy niemieccy nie życzą sobie ani celnej i handlowej z Węgrami, ponieważ Madziarzy uciskają Niemców. Do uzdrowienia parlamentu nie przyjdzie tak długo, dopóki w Austryi nie będzie wprowadzonym język państwowy niemiecki.

Dwie defraudacye na kolei.

(*Abraham Jakób Rosenbaum i Józef Trzciński, asystenci dyrekcyi kolei państwowych*).

Lwów 6 października.

(Telefonem).

Nie przebrzmiało jeszcze zupełnie echo defraudacyi, popełnionej na lwowskim głównym dworcu kolejowym przez asystenta Wójcikiewicza, gdy dziś przychodzi nam, niestety, zanotować z obowiązku dziennikarskiego dwie nowe defraudacye, popełnione przez asystentów dyrekcyi kolei państwowych Abrahama Jakóba Rosenbauma i Józefa Trzcińskiego.

W chwili, gdy w Wiedniu z ust do ust płynie smutna nuta na temat ostatniej milionowej defraudacyi Jellinka w Laenderbanku — u nas, w Galicyi, cisza na razie pokrywa defraudacye kolejowe. Wspominają tylko o nich pół-szeptem urzędnicy kolejowi, bacząc ostrożnie, by ich półsłówka nie przedarły się na łamy oficyn drukarskich.

Lecz od czegoż spryt reportera?

Z pod ziemi wydobędzie tajemnicę — byle zaspokoić żądania swych czytelników.

Tak też było i w niniejszym wypadku.

W chwili gdy dwaj kolejowcy, zapatrzeni w „bombki pilznerka", siedząc w jednym z tutejszych handelków śniadańkowych, toczyli sam na sam pogawędkę na temat defraudacyi — ucho reportera, zdającego się nie zważać wcale na tok rozmowy, skwapliwie chwytało każde słowo... każdy półszept.

I oto ani się spostrzegli, że słowa ich, sklejone w jedną całość, niesie już do Krakowa drut telefoniczny — cichy powiernik myśli i tajemnic naszego korespondenta.

Lecz wracam do rzeczy.

Pierwsza jak i druga defraudacya, jak to już wyżej wspomnieliśmy, miały

---

najniewinniej mógł spaść cios z tej lub owej strony.

Nie mogąc walczyć przeciw tej ludzkiej fali, Celka straciła z oczu swoje towarzystwo; zanim zdołała się opamiętać, znalazła się w przeciwnej stronie u drzwi dużego sklepu z suknem.

Przyparta do ściany, wśród krzyku handlujących, trzasku i zgrzytu towarów dartych w kawały i brzęku talarów, przyglądała się przechodniom.

Z bijącem sercem zrywała się na widok czarnego kapelusza używanego w Ségala, pewna za każdym razem, że to kapelusz matczyny.

— Tak, tak, to ona!

I w pierwszej chwili, złudzona podobieństwem, biegła w ślad za wieśniaczką, lecz, okrzyk radości zamierał w jej piersi — obca kobieta spoglądała na nią ciekawie. Jedni przeszli, drudzy się zjawiali, aby z kolei ustąpić miejsca innym, a wszyscy prawie w jednakim stroju, tak podobni, że trudno kogo poznać w tłumie.

Celka doznała takiego uczucia, jak człowiek, który stoi nad rzeką i patrzy w jej nurty, zmienne, ruchliwe, nie zatrzymujące się ani przez jedną chwilę.

Poszła nareszcie wzdłuż rynku, szukając matki lub brata, zatrzymywała się, to znowu przyspieszyła kroku na widok czarnego kapelusza.

Czas upływał; daremne trudy, widać już dzisiaj nie spotkam nikogo ze swoich, pomyślała biedaczka ze smutkiem.

Los ją prześladuje. Matka pewno także zbija pięty po ostrym bruku, szukając jej wszędzie; brat, który jest parobkiem w Ols, żywy czy martwy, musiał tu przybyć z bydłem na sprzedaż. A inni z San-Versa: Marcinowa, Vignalówny, Kasia i Józefka, córki starego Ardourela także pewno znajdują się na jarmarku, może o pięć o dziesięć kroków od niej, a ona patrzy, szuka, nie mogąc znaleść nikogo z rodzinnej wioski.

— Może są w zajeździe — pomyślała. — Stefan pewno poszedł do zajazdu pod „białą rzodkwią".

I tutaj pełno ludzi. Wywijają łyżkami, kobiety i mężczyźni jedzą śpiesznie, jak gdyby na wyścigi, szczęk noży i widelców głuszy ich rozmowę. Wszyscy w wesołem usposobieniu, w kapeluszach na bakier i zaczerwienioną twarzą.

— Stefan! Stefan! — zawołała kilkakrotnie pastuszka.

Nikt nie odpowiedział.

Każdy był zajęty pracą — jedni jedli, drudzy pożywieni już dostate-

miejsce na kolei. Pierwsza na stacyi w Przeworsku, druga we Lwowie na dworcu „Podzamcze". Obydwie to smutne zakończenie ostatnich dni września — zwykły koniec karciarzy.

Bo tak jeden defraudant jak i drugi — to znani na bruku lwowskim z nocnych spelunek gracze... lecz nieszczęśliwi. Widziano ich nieraz (a to filuci ci kibice, którzy sobie dopiero teraz przypominają. Przyp. zecera) jak pochyleni nad zielonym stolikiem, z czerwonymi oczyma i bladą twarzą, drżącemi rękami rozdawali karty a srebro i kanknoty przelewały się z ich kieszeni do bezdennych worków szulerów. Szły pieniądze zarobione ciężką służbą w dzień i w nocy przy okienku kasyera biletowego, szły wreszcie pieniądze obce... z kasy rządowej, czerpane pełną garścią za sprzedane podróżnym bilety jazdy. I ani się obydwaj spostrzegli, jak karząca sprawiedliwość wolnym krokiem zbliżała się do nich. Lecz przyszła wreszcie reflekcya. Widząc ogromne niedobory w poruczonych sobie kasach, powierzyli na razie swą wolność żelaznym rumakom, uchodząc chwilowo ręki Temidy.

Dokąd? — Bóg jeden wie o tem.

Defraudacyę w Przeworsku spostrzeżono dopiero w pierwszych dniach października.

Od miesiąca zajęty tam był na tzw. „subwencyi" jako kasyer osobowy 27-letni asystent Abraham Jakób Rosenbaum, przydzielony na czas choroby kasyera.

Rosenbaum w ostatnich dniach sierpnia przybył do Przeworska ze Stryja i objął w należytym porządku kasę. Dobre kwalifikacye, jakie w „personaliach" jego zapisywali przełożeni, nie dawały powodu do najmniejszego przypuszczenia nawet, że Rosenbaum popełni defraudacyę. A jednak tak się stało.

Jakkolwiek syn majętnych rodziców (matka jego ma we Lwowie kamienicę w dzielnicy Łyczakowskiej) nie mógł przy pomocy nawet pieniężnej, otrzymywanej z domu rodzicielskiego zaspokoić wszelkich wydatków, jakie pociągały za sobą zabawy, koncerta, bale a w głównej mierze karty.

Nie było bowiem jednego balu, jednej zabawy publicznej wyznawców Izraela, na którychby nie było Rosenbauma.

We fraku najnowszego fasonu, lakierkach pierwszej mody, obtańcowywał nadobne żydóweczki — a gdy ostatnie tony walca zamilkły na balowej sali, szedł dalej do nocnych nor, gdzie panuje bogini hazardu. Nie spłukawszy się do szczętu przy bufecie na balu — płukał dalej kieszenie przy zielonym stoliku. Wreszcie nadszedł tragiczny koniec. Rosenbaum widząc ostatnią deskę ratunku swego „ja" w ucieczce, zabrał ostatnie centy z kolejowej kasy, i zanim naczelnik stacyi w Przeworsku zdołał się opamiętać, znikł jak kamfora a z nim po miesiącu służby w Przeworsku 3.998 kor.

Drugi defraudant Józef Trzciński, również dwudziestokilkuletni młodzieniec, pochodzący ze szlacheckiej rodziny i spokrewniony z kilku wybitnemi rodzinami, padł także ofiarą losu nieszczęśliwych kart. Ten jednak że sprzeniewierzył jako kasyer osobowy do 7.000 kor. Chcąc upozorować na razie swą nieobecność w biurze, wysłał dla zyskania czasu do ucieczki, pismo do naczelnika stacyi kolejowej na Podzamczu z zawiadomieniem, że jest chory. Początkowo wierzono w chorobę Trzcińskiego, lecz wreszcie odbyte szkontrum i brak osoby Trzcińskiego przyprowadziły do przytomności naczelnika stacyi, że podwładny urzędnik — defraudant „drapnął".

Tyle cierpliwy drut telefoniczny przyniósł nam wczoraj po godzinie 1 po południu już po zamknięciu numeru.

Dziś dodatkowo donosi nam nasz korespondent lwowski, że przeciw Rosenbaumowi wniosła dyrekcya kolei państwowych doniesienie karne do prokuratyi państwa w Rzeszowie i do dyrekcyi policyi we Lwowie, przeciw Trzcińskiemu zaś do prokuratoryi we Lwowie i dyrekcyi policyi we Lwowie.

Jak się dowiadujemy, rodziny obu defraudantów miały pokryć wszelką szkodę i toczą się obecnie tylko układy o zatuszowanie całej sprawy i przyjęcia „marnotrawnych synów" na nowo w poczet kolejowców.

Według wiadomości prywatnych jakie otrzymała Dyrekcya kolei państwowych Trzciński ma przeby-

---

cznie popijali zwolna, nucąc piosnkę rzewną nutą, właściwą tej części kraju.

Nie śmiała wejść i szukać brata, nie miała też odwagi zapytać wychodzących, którzy paradowali uroczystym krokiem, zadowoleni przymrużywszy oczy, z pełnym żołądkiem w podnieconym humorze.

Gospodyni czerwona jak rądel, który trzymała w ręku, ukazała się w tej chwili na progu.

— Stefan, parobek z folwarku Ols... — rzekła nieśmiało Celka.

— Parobek z Ols?... — powtórzyła gospodyni. — Tak, był tutaj przed chwilą i wyszedł z handlarzem bydła. Pewno są na jarmarku.

Podziękowawszy niskim ukłonem, pastuszka wyszła.

Trudno było przecisnąć się przez rynek, lub też zobaczyć kogo o dwa kroki. Odwieczny kurz, poruszony nogami takiej massy ludzi, wznosił się tumanem, tworząc mgłę, która zasłaniała oczy.

— Stefan! Stefan!

Ach! gdyby mogła spotkać kogo ze swoich, matkę lub wreszcie sąsiadów z San-Vensa, niech się dzieje co chce, nie opuściłaby ich wcale. Gdzie oni pójdą, to i ona. Do Amarines — do Ols — wszędzie, choćby na koniec świata. Wszystko jej jedno, aby tylko nie wracać do Romairel, nie znosić ostrych przymówek Rozyny i przeprosin parobka.

— Stefan! Stefan!

Zmęczona i smutna, Celka siadła na kamieniu od strony gościńca, i znowu jak przedtem patrzyła na snujące się tłumy.

W kapeluszu na bakier i trochę za krótkiej spodnicy biegła Antosia, idyotka z San-Versa.

Antosia jest kompletnem dzieckiem. Ma lat dwadzieścia a jest głupia jak gdyby nie miała dwóch jeszcze, lecz przy tem pracowita, zdrowa i mocna, śmieje się ciągle, skacze, a nie umie odróżnić grosza od talara.

Biedna Tosia!

Spuściwszy głowę, jak pies, który szuka śladu, biegła prosto przed siebie.

— Tosia!

— Celka!

— Dokąd idziesz?

— Do San-Versa.

— Sama jedna?

— A tak.

— Zgubili ciebie?

— Zgubili.

— A trafisz?

(C. d. n.)

---

wać w Monaco, Rosenbaum zaś został przytrzymany w pomieszkaniu swego szwagra Buchstaba, właściciela biura dzienników we Lwowie

Wiadomości bieżące i rozmaite.

Kraków, 7 października.

Teatr miejski w Krakowie.

We wtorek 7 października b. r.: „Wesoły lord Quex“, komedya w 4 aktach A. Pinero.

We środę 8 października b. r.: „Żołnierz królowej Madagaskaru“, komedya w 3 aktach St. Dobrzańskiego (popul.).

We czwartek 9 października b. r.: „Jeden dzień“, trzy odsłony Adama Krechowieckiego (nowość).

W sobotę 11 października b. r.: „Szczęście“ (La veine), komedya w 4 aktach Alfreda Capusa (nowość).

W niedzielę 12 października b. r.: „Hamlet“, tragedya w 5 aktach W. Szekspira.

Repertuar teatru ludowego.

W wtorek 7 października b. r.: „Biedna dziewczyna“, operetka w 6 obrazach. W roli Małgorzaty wystąpi p. Niwińska, artystka teatru łódzkiego.

Dnia 1-go października przenieśliśmy redakcyę i administracyę do frontowego lokalu przy ulicy Karmelickiej l. 7 (dom p. Eug. Koziańskiego).

Miła chlebodawczyni. Od jednej z pracownic w pralni Julii Saneckiej przy ul. Szewskiej l. 9, otrzymaliśmy list, zawierający opis nader przykrych stosunków, panujących w pomienionej pralni.

Mianowicie p. Anna Kwaśna pracowała codziennie od godz. 7 rano do 10 wieczorem, gdy zaś przyszła sobota — pracowano w pralni do godz. 4 albo i 5 po północy, czyli prawie całą dobę. Należność w kwocie 5 złr. (4 złr. 60 ct. i na kolacyę 40 ct.) wypłacano bardzo nieregularnie i niechętnie, wreszcie gdy kilkanaście razy należnych za kolacyę 40 ct. nie wypłacono, p. Kwaśna upomniała się w dniu 13 września b r. o zaległość (a było to o godz. 1 w nocy); właścicielka pralni, p. Sanecka należności nie wypłaciła, prócz tego przyszła p. Sanecka pewnego dnia w towarzystwie jakiegoś pana i dwóch ajentów policyjnych którzy dokonali rewizyi w pomieszkaniu p. Kwaśnej podejrzywając ją o kradzież, wobec czego pracownica p. Kwaśna przestała do roboty przychodzić.

Fakt powyższy podajemy na zasadzie otrzymanego przez nas listu, pisanego przez p. p. Józefa i Annę Kwaśnych, a opatrzonego ich podpisami.

Od p. Fiedlera otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo! Odnośnie do zamieszczonego w dniu 6 października 1902 w nrze 48 „Kuryerka krakowskiego“ artykułu pod tytułem „Brutalność niemiecka“, jakobym kontrolując robotników zajętych około czyszczenia placu św. Barbary miał wymyślać słowami: „wy polskie świnie, ja was nauczę“, mam zaszczyt przesłać następujące zaprzeczenie: „Nieprawdą jest jakobym, kontrolując robotników kiedykolwiek odgrażał się i wymyślał ich obelżywymi wyrazy „Wy polskie świnie, ja was nauczę“, prawdą jest natomiast, że robotnikom zamiatającym niedbale plac św. Barbary udzieliłem nagany, pokazując im pozostawione i niezamiecione nieczystości, mówiąc: „Tu leży jeszcze niezamiecione świństwo, macie jeszcze raz zamiatać“! Te wypowiedziane przezemnie słowa przy sprawdzeniu wszyscy pracujący wówczas robotnicy wobec korpusu straży pożarnej potwierdzili“. Kraków, dnia 7 października 1902 r. Karol Fiedler, inspektor, zastępca naczelnika m. straży pożarnej.

Z Podgórza. Franciszek Czyszczoń, czeladnik szewski w Krakowie, okradł swoich towarzyszy i ze zdobyczą udał się do Podgórza. Tu jednak został zaaresztowany i rzeczy skradzione musiał oddać.

Salomea Tszmil, została dzisiaj przyaresztowaną za kradzież dwóch sukni, jedna biała w kwiaty, druga popielata. Właścicielka dotąd się nie zgłosiła.

Zgrabne oszustwo. Dnia 6 b. m. przybyła do pewnego sklepiku na Kazimierzu Karolina Sapiałowa, żądając za 10 hl. kaszy i grochu.

Gdy przyszło do płacenia Sapiałowa dała 10 koronówkę. Kupcowa nie miała czasu oglądać monetę, tylko zawinąwszy w papier schowała do kasy.

Jakież zdziwienie ogarnęło ją wieczorem, przy przeliczaniu kasy, kiedy spostrzegła, że owa 10 koronówka, była tylko 2 halerzami.

Dano znać do policyi, która przyaresztowawszy Sapiałową odstawiła ją do sądu.

Miły ojciec. Stanisław Zieliński, niemowa, upiwszy się, tak pobił swego 5 letniego syna, że musiano opatrywać rany. które mu zadał.

Rozpisanie dostawy. Dyrekcya kolei państwowych w Stanisławowie rozpisuje dostawę następujących materyałów na rok 1903:

1. Cement, niegaszone wapno, gips.
2. Materyały do oświetlania, czyszczenia i uszczelniania.
3. Materyały do smarowania.
4. Wyroby z żelaza walcowego, towary żelazne, gwoździe itd.
5. Chemikalia, pokost i lakiery, farby itd.
6. Towary płócienne i wyroby szmuklerskie.
7. Wyroby powroźnicze, kauczukowe, skorzane, szklane.
8. Materyały kancelaryjne i wyroby szczotkarskie.

Termin wnoszenia ofert upływa z dniem 25. października 1902 o godzinie 12 w południe.

Należy je wnosić do c. k. Dyrekcyi kolei państwowej w Stanisławowie.

Bliższych informacyi udziela Izba handlowa i przemysłowa w Krakowie.

KRONIKA LWOWSKA.

Oryginalną skargę wniosła w sobotę wieczorem do tutejszej policyi niejaka pani Leokadya Rawska, zamieszkała przy ulicy Kaspra Boczkowskiego l. 12.

Treść tej skargi, redagowanej prawdopodobnie przez jakiegoś „szynkowego adwokata“, jest następująca:

„Świetna c. k. Dyrekcyo Policyi! Pani Olga Reindel, wdowa, zamieszkała przy ulicy Gródeckiej l. 16 A) p r z e s z k a d z a (sic!) podpisanej w m a ł ż e ń s t w i e tak dalece, że przymuszona byłam od męża mojego się wyprowadzić. Ale to wszystko nie pomaga. P. Olga Reindel stara się koniecznie mnie życia pozbawić i chodzi pod drzwi mojego pomieszkania przy ulicy Kaspra Boczkowskiego 12, sypie różne trujące proszki, jakoteż

trujące gazy wpuszcza (sic!) przez szpary drzwi do mieszkania tak, że śmiertelnie (?) zachorowałam i pomocy lekarskiej wezwać musiałam. Proszę przeto: Świetna c. k. Dyrekcya Policyi raczy n a k a z a ć (sic!) p. Oldze Reindel dalszego prześladowania mojej osoby. *Leokadya Rawska* m. p."

Karambol. Woźnica gospodarza z Hołoska wielkiego, Jana Dradry, Ołeksa Jarosz, jadąc w sobotę wieczorem ulicą Łyczakowską, wjechał z takim impetem na wóz tramwaju elektrycznego, że wybił dyszlem dwie szyby, bo szczęściem nie było pasażerów w tramwaju.

Nieostrożnego woźnicę pociągnięto do odpowiedzialności karno-sądowej.

Dobrego gościa miał wczoraj w nocy właściciel jadłodajni przy pl. św. Teodora l. 6. Józef Mildbaum. Około godziny 12 przyszedł do jego traktyerni jakiś żołnierz 80 pp., a najadłszy się i napiwszy, chciał się niepostrzeżenie ulotnić. Mildbaum, widząc zamiar gościa, chciał go zatrzymać. Żołnierz jednak dobywszy bagnetu, zagroził traktyernikowi skaleczeniem, gdyby śmiał się tylko zbliżyć. Na szczęście Mildbauma nadszedł stójkowy, który rozbroiwszy żołnierza odstawił go do koszar.

Smutny szabas miał w sobotę pan Lazar Widman, zamieszkały przy ulicy Zamarstynowskiej l. 12 A. Jakiś złodziej wtargnął do jego pomieszkania i skradł mu złoty łańcuszek ze złotym emaliowanym medalionikiem, w którym p. Lazar zawsze przy święcie paradował wśród „czarnej giełdy" na Wałach Hetmańskich.

„Niepocieszony" po stracie doniósł p. Lazar o kradzieży policyi, która zanotowawszy — jak zwykle — w swych zapiskach imię i nazwisko poszkodowanego, złożyła na razie „numer aktu" *ad acta* aż do wyśledzenia złodzieja.

Nieostrożna jazda. Icie Samel, woźnica z Jaryczowa, jadąc wczoraj szybko ulicą Żółkiewską najechał na Jędrzeja Kirscha woźnicę a powaliwszy go na ziemię, zadał mu kilka znaczniejszych ran na głowie, które opatrzyło pogotowie stacyi ratunkowej.

Nagła śmierć. W sobotę około godziny 7 wieczorem zmarł nagle we własnem pomieszkaniu przy ul. Meiselsa l. 4 parobek w browarze akcyjnego Towarzystwa, 37-letni Tomasz Plizga.

Po stwierdzeniu nagłej śmierci wskutek krwotoku płucnego, odstawił komisaryat III dzielnicy zwłoki denata do kostnicy zakładu medycyny sądowej, celem dokonania sekcyi zwłok.

Plizga, o którym sąsiedzi opowiadali, że żył za 10 halerzy cały dzień, pozostawił książeczkę wkładkową gal. Kasy oszczędności na 927 kor., dwa srebrne zegarki i 120 koron gotówką.

Krwawa bójka rozegrała się wczoraj po południu w Rynku. Maryn Czepil, zarobnica, posprzeczawszy się ze swym kochankiem Stanisławem Romanowskim, ugodziła go tak silnie nożem w okolicę podoboiczykową, że nóż przebiwszy palto, surdut i koszulę, zadał Romanowskiemu znaczniejszą ranę. Opatrzyło go pogotowie stacyi ratunkowej — Czepilową zaś osadzono na razie w aresztach policyjnych.

Straszny wypadek zdarzył się wczoraj po południu w realności przy ul. Szeptyckich l. 19. Furman przedsiębiorcy Izaaka Leitera, Leon Pikuła, czyszcząc konia swego służbodawcy, został tak silnie ugodzony kopytem końskiem w głowę, że zalany krwią padł bez przytomności na ziemię. Wezwane pogotowie stacyi ratunkowej, stwierdziwszy załamanie czaszki, odwiozło Pikułę po prowizorycznem opatrzeniu do szpitalu powszechnego.

Wojna mleczna.

Wiele ciekawego światła na stosunek spożywczy do wytwórcy i pośrednika rzuca niedawna wojna mleczna, której widownią był Berlin.

Mleko w drobnej sprzedaży kosztowało tam 20 fen. za litr, z czego 8 albo 7½ fen. przypadało na pośredników, w tym wypadku drobnych handlarzy produktami spożywczymi.

Długi czas wszystko szło dobrze i gładko. Berlin kupował mleko po 20 fen., kramarze chowali fenigi, a wielcy dostawcy mleka, związani w potężny „ring", zwany urzędowo „Centralnem towarzystwem dla sprzedaży mleka", robili większe lub mniejsze majątki.

Ale kiedy „ring" (pierścień) mleczny rozwinął się jeszcze bardziej i objąwszy wszystkich dostawców mleka, uniemożliwił wszelką konkurencyę, ci ostatni rychło zrozumieli, że tak samo jak po 12 fen. mogą brać za litr mleka po 13½ fen.

Nie długo myśląc podwyższyli w myśl tego odkrycia cenę mleka, pozostawiając pośrednikom najtrudniejszą sprawę wytłómaczenia spożywcom, że w całej tej manipulacyi — chodzi wyłącznie o ich dobro, jeżeli nie materyalne to duchowe, pomogą bowiem mleczarzom wzbogacać się lichwiarskimi zyskami.

Ale ogół spożywców nie czekał na naukę pośredników, ale widząc, na co się zanosi, postanowił na całym szeregu zgromadzeń bojkotować niesumiennych handlarzy wraz z ich mlekiem. Położenie zaostrzyło się niepomiernie. Pośrednicy zaczęli pisać, a dostawcy kręcić za pomocą oddanej im części prasy i płatnych ogłoszeń w pismach ludowych. Usiłowano wytłómaczyć ludowi, że sprawa podrożenia mleka jest czysto wewnętrzną i może być znakomicie załatwioną między dostawcami a pośrednikami, którzy także wielkie ze swego pośrednictwa wydobywają zyski. Na dowód prawdy słów swoich obiecał „Ring" mleczarski założyć trzysta drobnych sklepów mlecznych we własnym zarządzie, gdzie spożywcy będą mogli i nadal kupować mleko po dawnej cenie 20 fen. za litr.

Zdawałoby się, że wojnę w ten sposób zakończono. Ten i ów przyklasnął śmiałej obietnicy, a pośredniczący kramarze spostrzegli, że między tymi dwoma kłócącymi się mogą wyjść zupełnie inaczej niż opowiada przysłowie. Czem prędzej więc zorganizowali się w związek „handlarzy mlekiem" i uzyskawszy w ten sposób potrzebną siłę, zaczęli walczyć z groźnym wrogiem w osobie dostawców.

W licznych swoich odezwach wytłómaczyli światu i dowiedli niezbicie, że podrożenie mleka o jednego feniga na litrze przyprawia ich o ruinę, ponieważ ten zysk ich 7½ fen. na litrze był tylko pozornym. Jeżeli bowiem weźmie się na uwagę koszta utrzymania sklepu, transportu z kolei i pewną ilość zepsutego mleka, to nie trudno obliczyć, że interesa pośredników nie są wcale świetne, podczas kiedy dostawcy dążą tylko do wierutnego zdzierstwa i lichwy ufni w swą organizacyę.

Łatwo zrozumieć, że w zaostrzonym tym sporze głos rozstrzygający przypadł w udziale spożywcom. Chodziło o to, komu przyznają racyę i słuszność, na czyją przychylą się stronę. I oto ogół spożywców urządził niespodziankę wrogom pośredników stając po ich stronie nie z osobistych sympatyi dla nich, ale po prostu celem ukrócenia

zdzierstw i samowoli wytwórców wiejskich.

Na licznych zgromadzeniach, które na nowo zaczęto zwoływać, celem wyświetlenia określonego wyżej stanowiska, zgodzono się jednogłośnie na to, że aczkolwiek handlarze berlińscy, nie zasłużyli sobie na miłość spożywców, to jednak należy ich poprzeć w tej walce z właścicielami wiejskimi, ponieważ ci ostatni dążą wytrwale do nałożenia stałego haraczu na mieszkańców miast, przez stopniowe podwyższanie cen swoich produktów.

Dziś podnoszą się ceny mleka, jutro jarzyn, mięsa i masła, tak, że wreszcie cała ludność miejska będzie musiała składać daniny dla chciwych i niesumiennych wytwórców, którzy podobnie jak w sprawie taryfy cłowej dla zboża, tak i na wszystkich innych polach produkcyi wiejskich usiłują uciskać miasta.

Jak się ostatecznie rozstrzygnie cały spór nie wiadomo. Niemniej jednak można dostawcom mleka wróżyć walną — przegraną.

CUDOWNE OCALENIE.

(Ilustracya na stronicy tytułowej).

Przed kilkoma dniami stał się w Warszawie wypadek, który skończył się cudownym tylko sposobem, szczęśliwie.

Ulicą Kapucyńską przechodziła Józefa Woskowa, prowadząc za rączkę dwuletnie dziecko. Wtem nadjechał wóz, wyładowany węglem.

Dziecko upadło... upadło pod kopyta końskie.

Biedna matka struchlała. — Śmierć jej dziecięcia była nieuniknioną.

Lecz cudownym zbiegiem okoliczności, wóz przejechał nad dziecięciem i nie tknęły go ani konie kopytami, ani nie uszkodziły koła wozu.

Rycina nasza ilustruje ten moment sceny, gdy wóz przejechał już nad leżącem na bruku dziecięciem.

Tragiczny los króla naftowego miliardera Rockefellera.

Dzisiejszy „Tagblatt“ pisze:

Przed pół wiekiem pełnił w kościele wiejskim w Ohio (w Ameryce) służbę ministranta mały, szczupły blondynek. Za czynność tę pobierał chłopczyna dziennie 20 fenigów wynagrodzenia. Mały ten chłopczyk jest dziś najbogatszym człowiekiem w Ameryce a zapewne i na świecie. John Rockefeller, król naftowy.

Nie puszczał się on nigdy na szalone spekulacye finansowe, które zrobiły karyerę innych miliarderów, jak Vanderbilt'a, Morgana itp.

Rockefeller jest wzorem człowieka, który „umie się liczyć“ jak to powiadają. Zapisywał ciągle i wytrwale małe, białe kartki papieru cyframi, dniem i nocą werlował on we fabrykach oleju, na pokładach okrętów, w rafineryach nafty, w fabrykach szkła dochody i wydatki swoje, obliczał zarobki i straty. I tak ciągle licząc, ciągle notując cyfry doszedł do ogromnej fortuny, do kolosalnego majątku. Pośród 80-cio milionowej liczby mieszkańców w Stanach Zjednoczonych Ameryki, nie nalewa się ani jednej kropli oleju, nie spala się ani kropli nafty, ani jednej świecy, którahy nie zwiększała majątku Rockefellera.

Każdy mężczyzna, każda kobieta, w każdej chacie, w każdym pałacu kraju rodzinnym Rockefellera, jako też wiele ludzi w Europie, Azyi i Afryce płaci jemu pośredni podatek.

Ten człowiek posiada tysiąc pięćset milionów majątku, który przynosi mu dochodu 100 milionów rocznie, czyli 150 koron na minutę, — około $2^1/_2$ korony na sekundę.

A teraz tragedya, tragedya, której głowa ludzka wymyślić nie byłaby w stanie. Daleko od cywilizacyi, na dzikiem oddalonym kawałku ziemi, w bliskości wsi Lakewood, widzi się na drodze, otoczonej drzewami, spacerującego żywego trupa, szkieleta ludzkiego. — Opierając się na lasce żebraczej, przechadza się postać ta w cieniu drzew; głowa o ołowianej barwie, bez jednego nawet włosa, twarz bez brwi, bez śladu brody, czoło o niezliczonej ilości zmarszczków, o trupiej bladości, wychudła pierś, w której zdaje się nie być ani jednej kropli krwi już; nędzarz ten, to widmo cierpienia, to John Rockefeller, milioner, król naftowy. Od sześciu lat milioner ten już nie jadł. Od sześciu lat już utrzymuje się on kroplami mleka i sztucznem pożywieniem. Od sześciu lat przeszło usta jego nie dotknęły już żadnej potrawy. Tak, człowiek ten, król ten złota, bóg bogactwa, ten człowiek umiera z głodu jak najnędzniejszy żebrak. — Ten, od którego kaprysów tyle ludzi zależało, ten człowiek żołądkowi rozkazać nie może. Ten, który wszystko kupić może, nie jest w stanie kupić sobie chociaż jednej sekundy zdrowia.

Co za kontrast, co za widok! Żaden poeta, żaden dramaturg nie straszniejszego wymyślić nie mógłby.

Telegramy „Kuryerka Krak.“

Paryż. Wczoraj wieczorem odbył się bankiet doroczny komitetu republikańskiego dla handlu i przemysłu w obecności prezydenta ministrów Combesa, ministrów, senatorów i deputowanych.

Minister handlu wygłosił mowę, w której wyraził uznanie kupiectwu za rezultaty, osiągnięte na rozmaitych zagranicznych wystawach.

Minister zakończył wezwaniem, aby w obecnej chwili powstawania wielkich trustów kupiectwo francuskie starało się usilnie o rozwój ducha przedsiębiorczego, oraz wezwał do uczenia się obcych języków.

Deputowany Brisson wyraził kupiectwu uznanie za gorące zainteresowanie się sprawami republiki.

Kraj przy obecnych wyborach dobitnie objawił, że jest za utrzymaniem republiki, socyaliści nie wypuszczą broni z ręki. Rząd spostrzegłszy niebezpieczeństwo nauczania przez kongregacye, zdecydował się nauczania z ich rąk odebrać.

Obecnie jest obowiązkiem rządu rozciągnąć opiekę nad wychowaniem, wziąść ją w swoje ręce i dać przyszłym generacyom patryotyczne wychowania.

Następnie zabrał głos prezydent ministrów Combes.

Odpowiedzi Redakcyi.

„Ananas“. Inseratów tej treści umieszczać nie możemy. Przysłana kwota jest do dyspozycyi pańskiej.

Drukarnia i stereotypia A. Koziańskiego w Krakowie.